George O. Smith

Instynkt

(Instinct)

Astounding Science Fiction, March 1959
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Była 047-63-10 kiedy otworzył drzwi. Zanim jego zwierzchnik objechał go za zbyt wczesne pojawienie się, właśnie w chwili kiedy uniósł wzrok i otworzył usta by zacząć, Huvane powiedział:

— Przepraszam, ale powinien pan o tym wiedzieć. Terra znowu się tym zajęła.

Chelan zamknął usta z kłapnięciem. Otarł twarz dłonią i spytał pełnym rozdrażnienia tonem:

— Dlaczego oni nie mogą zrobić nam tej przyjemności i dla świętego spokoju wysadzić się w powietrze? Jak daleko zaszli tym razem?

— Przez całą drogę.

— I wyruszyli?

Huvane usiadł, powoli kręcąc głową.

— Jeszcze nie, ale wie pan, że są sporo ponad kreską. — Twarz Huvane rozjaśniła się troszeczkę. — Szefie nie może pan mieć do mnie pretensji, że tego dokładnie nie policzyłem. Szacuję jednak, że muszą mieć już co najmniej paręset atomów 109. Wie pan przecież, że nie można wytworzyć 109, jeśli wcześniej nie rozwinie się metod pomiarów właściwości poszczególnych atomów. A więc, kiedy tylko zorientują się, że ich próbka nie zachowuje się jak standardowa masa z komory bombardującej, nie spoczną, dopóki nie dowiedzą się dlaczego. I kiedyś się dowiedzą. Potem będzie już tylko 109, 109, 109, aż w końcu zostaniemy zmuszeni, by ponownie ich pacnąć.

Chelan popatrzył na niego kwaśno.

— Nie wydaje mi się, żebym potrzebował wykładu. Podziwiam ich upór. Podziwiam ich ambicję. Podziwiam ich bluźniercze, powszechne, obsceniczne skłonności do zachowania się jakby Wielki Stwórca wymyślił cały wspaniały Wszechświat, jako plac zabaw dla nich. Tak — oznajmił ze zmęczeniem szef, — w pojedynkę, nie są tacy źli. Ale stopienie ich wszystkich w kotle wielkiego ego całej rasy, powoduje, że mój podziw szybko gaśnie. Po prostu zaczynam się bać.

— Taaak. No cóż, mamy jeszcze czas.

— Niezbyt wiele. Jaki tym razem jest ich potencjał kosmiczny?

— Nadal rozbijają sobie głowy o barierę zależności masa-bezwładność. Rakiety ogonowe… eee, silniki oparte na reakcji chemicznej. Załogowe i bezzałogowe loty orbitalne. Kilka lądowań na ich siostrzanej planecie. Nie — zorientował się Huvane, kiedy dostrzegł zmieszanie szefa, — nie miałem na myśli Planety Numer Dwa… tym razem nazywają ją Wenus. Chodziło mi o ich towarzysza współorbitalnego. Księżyc. Ciągle tak go nazywają.

Szef patrzył na niego ze zdumieniem.

— Sądzi pan — spytał poważnie, — że naprawdę istnieje u nich coś takiego jak „pamięć rasowa”?

— To sprzeczne ze wszystkimi teoriami — sprzeciwił się Huvane. — Ale wydaje się, że coś może… — głos zawisł mu nieobecnie. Kontynuował po krótkich przemyśleniach: — Próbowałem to sobie uporządkować, tak jakbym był jednym z nich. To powracanie do… eee… jak oni to nazywają

„nazw ze starożytności”, wydaje się powtarzać za każdym razem. Ich Planeta Dwa, obecnie nazywana Wenus, ostatnio nazywała się Astarte, wcześniej była to Isztar.

— Inaczej, ale podobnie.

— Nieważne. Te nazwy ciągle są w użyciu i zgodnie z ich własną opinią, to po prostu nazwy wybrane z miejscowych pogańskich wierzeń religijnych.

Szef skinął głową i stwierdził:

— To tylko część tych wszystkich podobieństw. Najważniejszą sprawą jest sposób w jaki nieustannie podążają ściśle za tym samym wzorcem. Barbarzyństwo, kultura agrarna, miejska, dokładnie po kolejnych szczeblach, zgodnie z regułami nauk społecznych, ale cały czas na tej drodze do góry, kłócąc się i walcząc, a potem ekspansja w kosmos. Do diabła, Huvane, wojny i konflikty jestem w stanie zrozumieć i sobie z nimi radzić, lecz nie na sposób terrański. Oni nie wyruszają w kosmos z zamiarem podboju, czy gwiezdnej kolonizacji. Wyruszą w kosmos ciągle tocząc swe nieistotne prywatne wojenki i każda strona chce powiększać swój zakres wpływów, walcząc jedni przeciwko drugim, aż w końcu cała część tego ramienia spiralnego galaktyki zaczyna przypominać skwierczącą iskrę koło beczki z prochem. Szkoda — oznajmił gwałtownie, — że nie możemy odciąć tego ramienia i odrzucić go daleko w przestrzeń pozagalaktyczną!

Huvane pokręcił głową.

— I zostawić ten problem do rozwiązania naszym dzieciom?

— I tak będą musiały się nim zajmować — odparł Chelan. — Za kolejne dwadzieścia tysięcy lat, Terranie powrócą, załatwiając swoje sprawy w ten sam odwieczny sposób. Chyba, że teraz uda nam się to rozwiązać raz i na zawsze.

Huvane rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukając innych drzwi do gabinetu szefa.

— Jak? — spytał sarkastycznie. — Za pierwszym razem, powitaliśmy ich serdecznie, i przyjęli nasze powitania i nas za próbę zmyłki, zanim nie wykopiemy im stołka spod tyłka. Za drugim razem, odgrodziliśmy ich i wyrwali się na zewnątrz po konwersji ekranu izolacyjnego w broń ofensywną. Za trzecim razem próbowaliśmy ich unikać i zdziczeli eksploatując mniej ambitne rasy. Za czwartym razem przegapiliśmy statek i zaczęli nas podgryzać od tyłu, zanim się o nich dowiedzieliśmy; utrzymanie ich w ryzach, było niemal jak powstrzymanie nowej. Za piątym razem wkroczyliśmy i próbowaliśmy ich zrozumieć i okantowali nas w handlu dwa do jednego. Dwie rzeczy, których nie chcieli za jedną, którą chcieli. — Huvane skrzywił się. — W zasadzie to nie jestem pewien, czy nie okantowali nas w inny sposób: dwie rzeczy których potrzebowali, za jedną o której powiedzieli nam, że jest bezużyteczna. Za szóstym razem? To był ostatni raz i wtedy po prostu wyruszyli strzelając do wszystkiego, tak jakby cała galaktyka automatycznie musiała być ich wrogiem. Tym razem? Kto wie?

Huvane usiadł i włożył ręce między kolana.

— Oni nie działają jak ludzie. Rozsądny człowiek rozwiązuje swoje własne problemy, a potem rozgląda się za nowymi. Terra? Połowa globu jest przeciwko drugiej połowie. Walcząc między sobą zębami i pazurami, ciągle jednak potrafią znaleźć czas na wynalezienie sposobów przekroczenia kosmosu i dotarcia na inne planety, aby kontynuować swą walkę na nowym terytorium.

— Może najlepiej będzie po prostu przyznać, że nie potrafimy znaleźć rozwiązania. Potem możemy Terrę rozwalić do gołej ziemi, cofnąć to miejsce do kolejnej epoki lodowcowej, zapisać szczegóły w rejestrach historycznych i mieć nadzieję, że nasi odlegli potomkowie będą mądrzejsi od nas.

— Tak jak my jesteśmy mądrzejsi od naszych odległych przodków? — zadrwił Huvane.

— Ma pan może lepszy pomysł?

— Być może. Czy ktoś kiedyś tak naprawdę wziął paru z nich i ich *przeanalizował*?

— To nieludzkie.

— Zgadzam się, ale…

— Proszę więc zdobyć zdrowy, dobrze zrównoważony okaz o nieco lepszym wykształceniu i wyszkoleniu od przeciętnego. Da pan radę?

— Dam. Ale jak pan ma zamiar go trzymać?

— Nie będę go przecież badał jak bakterię pod mikroskopem. Nie ucieknie. Huvane, proszę załatwić to w czternaście versaidów.

— Załatwię to w dziesięć, plus minus radite lub dwie. Do widzenia.

Na Cape Canaveral stała trzystupięćdziesięciostopowa bestia, pomniejszająca swych twórców do mikroskopijnych rozmiarów. Rojący się w górę i w dół kratownicy wyrzutni ludzie o rozmiarach mrówek, wpełzali i wypełzali z włazów kontrolnych, wykonując kontrole przyrządów, ciągnęli za sobą węże, kable, liny. Jakieś tysiąc stóp od rakiety, strzeliła w górę świeca dymna ciągnąca za sobą czerwony ogon; jak zwykle stanowczy głos zaanonsował:

— Na podany sygnał, X Minus Piętnaście Minut … … … Teraz! X Minus Piętnaście Minut!

Jerry Markham powiedział:

— Teraz czas na mnie!

Popatrzył do góry na wysoko położony otwór włazu i niemal zakręciło mu się w głowie na sam widok. Był zdrowym młodzieńcem, w wieku mniej więcej dwudziestu czterech lat, pełnym życia. Dzień spędził na przechodzeniu przez dwie procedury, które czasami miały charakter równoległy, a kiedy indziej sekwencyjny. Jedna z nich polegała na przepowiedzeniu sobie otrzymanych instrukcji, punkt po punkcie, włączając w to różne warianty i wersje, które wymagały od niego podjęcia odpowiedniej decyzji, jeśli warunki na Wenus będą odpowiadać tej teorii lub tamtej. Druga polegała na rygorystycznym badaniu lekarskim. Żadna z nich nie wykazała, że Jerry Markham spędził ostatnią noc robiąc rzeczy

niekoniecznie zalecane przez jego przełożonych, ale nawet gdyby się o tym dowiedzieli, nie powinno mu to specjalnie zaszkodzić. Trudno było się spodziewać, aby go utrącono, za to że poświęcił pożegnalny wieczór na imprezę.

Uścisnęli sobie ręce z szefem i wsiadł do windy. Idealne pożegnanie według niego powinno mieć nieco odmienny charakter. Brakowało grających orkiestr i dziewczyn obrzucających go serpentynami i kwiatami, a do tego paru drinków. Powinna go pożegnać Sally z dumnym całusem pozostawiającym ślad szminki i łzawymi zapewnieniami, że będzie na niego czekać. A tutaj wszystko odbywało się bardzo wojskowo, sztywno i poważnie – dlatego właśnie musiał poszaleć ostatniej nocy. Miał swoje dobranoc i do widzenia z Sally Forman, ale teraz, osiemnaście godzin później, chętnie by to wszystko powtórzył.

Przez następne pół godziny, umysł Jerry'ego absolutnie nie będzie miał czasu się tym zajmować, ponieważ miała być to najbardziej niebezpieczna część jego lotu. Od jutra będzie trochę więcej czasu, aby zająć się sobą. Możliwość, że za trzydzieści minut od tej chwili, może zginąć w płonącej rakiecie, nawet nie przeszła mu przez głowę. Podobnie nie przejmował się ryzykiem, że za godzinę od tej chwili być może będzie musiał przekazać, że jego ptaszek zszedł z kursu i jego przeznaczeniem jest śmierć głodowa, jeśli zajmie niewłaściwą orbitę lub gwałtowna zagłada, jeśli nie zajmie żadnej orbity.

Siedział słuchając recytacji odliczania przez oficjalnego startera i naprężył mięśnie, gdy usłyszał zapowiedź:

— Zero! Odpalenie!

W głębi, umysł Jerry'ego Markhama oznajmił: „Wystartowaliśmy!" i zaczął wybiegać myślą do przodu, do lądowania na Wenus. Nie do jakichś problemów z lądowaniem, ale do tego co tam znajdzie kiedy przebije się przez pokrywę chmur.

Zdeterminowany, żeby trzymać się przy wysokim przeciążeniu, nawet jeśli go nikt nie obserwował, leciał i leciał, coraz wyżej i wyżej. Radio metalicznym głosem oznajmiało mu postęp lotu. Po gwałtownym przeciążeniu nastąpił wstrząs, a po wstrząsie uczucie lekkości. Zupełnie stracił orientację; tylko logika i intelekt mówiły mu gdzie jest i dokąd zmierza.

Potem miał bardzo dużo czasu. Mógł jeść, pić, czytać i palić jednego papierosa co trzy godziny. Generalnie robić to samo, co więzień siedzący w izolatce. Oczywiście to porównanie nawet nie przyszło Markhamowi do głowy, ponieważ był to zaszczyt, a nie kara.

Huvane schwytał go równie łatwo, jak rybak wyciąga z sieci złapanego kraba. W sposób szokowy, ponieważ krab nie traktuje sieci ze specjalną łagodnością.

Huvane zabrał cały kram, człowieka i maszynerię. A potem otworzył pojazd kosmiczny tak jak człowiek zrywa przykrywko z puszki sardynek.

Mógłby zrobić otwór w śluzie powietrznej, ale chciał żeby Terranin zrozumiał jak wielka potęga stoi za całym tym aktem.

Jerry Markham wyszedł ze środka mrugając oczyma, bardzo oględnie dziwiąc się powietrzem. Było dobre. Nie zastanawiając się nad raczej wysokim prawdopodobieństwem tego, że żaden z nich nie zna jego języka, wyrzucił z siebie:

— O co chodzi?

Nie był nawet jakoś specjalnie zaskoczony, kiedy jeden z nich, w mundurze, krótko oznajmił:

— Tędy, Terraninie i ruszaj się żwawo!

Nie, nie był specjalnie zaskoczony. Był za bardzo ogłupiały, aby dopuścić do siebie coś takiego jak zaskoczenie. A wskutek wstrząsu i oszołomienia, miesiące szkolenia zupełnie z niego opadły. Jedyną rzeczą, o którą się Jerry martwił, było pierwsze, co mu przyszło do głowy: *W jaki sposób wysłać wiadomość na Ziemię*?

Zamknięcie w metalowej klatce najwyższego członu rakiety nie przeszkadzało mu. Pomysł lądowania na planecie, znajdującej się co najmniej dwadzieścia siedem milionów mil od domu, był bułką z masłem. Izolacja przez rok nie była niczym więcej niż zwykłym odpoczynkiem, okresem przygody, który zostanie mu wynagrodzony na wiele sposobów. Sally? No pewnie, że mogła na niego nie zaczekać, ale przecież były inne; wyobrażał sobie, że po swoim udanym powrocie, będzie musiał kijem się od nich oganiać. Do diabła, trudno było się opędzić już przed startem, od chwili kiedy zaczął się piąć w górę listy możliwych kandydatów do lotu.

Nie, spotkanie z konkurencją w kosmosie, aż tak bardzo nim nie wstrząsnęło. Niepokoił go tylko brak kontroli nad sytuacją. Spotkać się z nimi i ruszyć dalej aby zająć się swoimi sprawami, tak wyobrażał sobie ten incydent.

W obecnej sytuacji, pragnienie powiadomienia kogoś o tym wszystkim, stało się prawdziwym imperatywem. Kiedy siedział, sam, bezradny, stwierdził że nie poświęcał zbyt wiele czasu rozmyślaniom o śmierci, gdy teraz miała ona się stać jego losem. Co oznaczało, że nawet nie będzie miał grobu. Nie czuł specjalnego żalu; fizyczna koncepcja „grobu" i jego zawartości w formie rozpadającej się substancji organicznej, nic dla niego nie znaczyła. Był to tylko symbol. Dopóki ludzie wiedzieli jak i gdzie zginął, Jerry'emu Markhamowi nie robiło szczególnie różnicy, czy zostanie umieszczony w skrzynce z duridium, gwarantującej zachowanie jego martwego ciała przez tysiąc lat, czy zniknie w jasnym szybkim rozbłysku płomienia, którego języki zabarwią się śladami żarzących się pierwiastków chemicznych organizmu człowieka.

Dopóki ludzie wiedzieli. Gdzie i jak. Mglista, niejasna, nagłośniona przez mass-media koncepcja. Granitowy grobowiec był czymś, był określonym miejscem. Wskazanie wyciągniętym palcem przesuwanej po niebie ręki, na Płaszczyznę Ekliptyki i powiedzenie „To jest tam", pozwala określić inne miejsce. Zginął na Wenus, to tylko fraza; chociaż Wenus widziana z Terra Haute, czy Times Square jest niewielkim punktem na niebie, na oko mniejszym, niż Grobowiec Granta.

Wyobraźnia zrodziła irytację. Czy nazwą to błędem pilota, czy awarią sprzętową? Śmierci potrafił stawić czoła. Zbłaźnienie się byłoby hańbą, którą trudno byłoby mu znieść faktycznie lub symbolicznie. Awaria sprzętu była kwestią praw prawdopodobieństwa. Tak więc to nie była tylko sprawa poważnego traktowania obowiązków służbowych, cała jego istota krzyczała głośno: *muszą się dowiedzieć*!

Ktokolwiek.

Tylko szansa, by powiedzieć o tym jednej jedynej istocie ludzkiej.

Chelan spytał go:

— Kim jesteś? Twoje nazwisko i ranga?

Odparł ponuro:

— Idź do diabła.

— Mamy sposoby i środki.

Oznajmił:

— A więc użyjcie ich.

— A gdybyśmy powiedzieli, że nie chcemy wyrządzić ci krzywdy; gdybyśmy spytali, co możemy zrobić, aby ci to udowodnić. Jaka byłaby twoja odpowiedź?

— Zabierzcie mnie z powrotem i wypuśćcie mnie.

— Kim jesteś? Czy w końcu powiesz?

— Nie.

— Uparty Terranin.

— Znam swoje prawa. Nie jesteśmy w stanie wojny. Nic wam nie powiem. Dlaczego mnie schwytaliście?

— To my zadajemy pytania, Terraninie.

— Nie otrzymacie ode mnie odpowiedzi. — Parsknął na nich gniewnie. — Torturujcie mnie – i ciekawe, czy moje wrzaski powiedzą wam prawdę. Dajcie mi narkotyk, i zobaczymy, czy to w co naprawdę wierzę jest faktem, czy fantazją.

— Proszę — przerwał mu Chelan, — chcemy tylko zrozumieć wasz gatunek. Dowiedzieć się, co was napędza.

— Dlaczego więc nie spytaliście?

— Próbowaliśmy i nie dostaliśmy odpowiedzi. Terraninie, Wszechświat to ogrom niepojęty dla ciebie. Współpracuj z nami i daj nam to, czego chcemy się dowiedzieć, a jego część będzie twoja.

— Bzdury!

— Terraninie, masz przyjaciół?

— A kto nie ma?

— Czy my nie możemy zaprzyjaźnić się z tobą?

Gniewnie, obraźliwie:

— Wasze zachowanie nie jest na tyle przyjazne, żeby mnie przekonać.

Chelan pokręcił głową.

— Zabrać go stąd — polecił we własnym języku.

— Gdzie? I jak będziemy go trzymać?

— Do miejsca, które przygotowaliśmy. I żeby było bezpieczne.

Huvane spytał go:

— Bezpieczne? A co to znaczy bezpieczne? Jeden przekupił swoich strażników. Druga, uwiodła swoich. Kolejny wykopał sobie drogę ucieczki,

skrobiąc łyżeczką. Znikali, umierali, uciekali, ginąc pośród miriadów planet – jeden zdaje się nawet dotarł do domu, być może dając początek ich legendom o bogach w niebie; legendom które są wiecznie żywe, które przetrwały wzlot i upadek ich cywilizacji od barbarzyństwa do… do… do Pierwiastka 109.

Chelan popatrzył na Jerry'ego Markhama. Terranin odpowiedział mu spojrzeniem tak wyzywającym, jakby był tu gościem, a nie jeńcem.

— Współpracuj — westchnął Chelan.

— Nic wam nie powiem. Zmuście mnie. Nie mogę temu zapobiec.

Chelan z troską pokręcił głową.

— Wyciągnięcie wszystkiego co wiesz, byłoby łatwiejsze niż dziecięca zabawa — powiedział. — Nie, Terraninie. Możemy się dowiedzieć, tego co wiesz, w ciągu jednego obiegu wskazówki. Ale nam potrzebne jest to, czego nie wiesz. Śmiejesz się? Czy też może to jest szyderstwo? Nieważne. To co wiesz, jest bezwartościowe. Mniejsza z waszymi problemami, waszymi ambicjami, zarówno rasowymi jak i osobistymi. Już je poznaliśmy. Ten wzorzec stale się powtarza, zmieniają się tylko pewne nazwy.

— Ale dlaczego? Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Dlaczego jesteście tacy, jacy jesteście. Siedem razy w historii Terra powstawała z pyłu i błota, siedem razy podążając tą samą drogą. Siedem razy w historii, poświęcała dziesięć tysięcy lat na dojście od dzikusa, do uczonego, od barbarzyństwa do rozumu, i zawsze z tym samym celem do wykonania – wykonania czego? Umierania za co? Walki o co?

Chelan machnięciem ręki kazał Huvane zabrać Terranina.

Huvane oznajmił:

— Kazałem go zamknąć w szczelnym pomieszczeniu, ze strażnikami, którym można zaufać. Co z nim teraz zrobimy?

— Będzie współpracować.

— Zmusimy go do tego siłą?

— Nie, Huvane. Pozbawiając go jednej z rzeczy, dzięki której życie ma sens.

— Jedzenia? Spokoju?

Chelan pokręcił przecząco głową.

— Czegoś znacznie bardziej podstawowego. — Przyciszył głos. — Cierpi teraz z powodu odcięcia od swojego gatunku. Życie rozpoczyna się skargą na sposób potraktowania go podczas cudu narodzin i krzykiem pozwalającym na nabranie pierwszego oddechu. Kończy się zaś ostatnim tchnieniem, przy kimś słuchającym ostatnich słów, ostatniej wiadomości od umierającego. Komunikacja, Huvane, to podstawowa potrzeba każdego żywego stworzenia, od rośliny, przez zwierzęta, do człowieka – a nawet, jeśli takowy istnieje, superczłowieka.

— Życie toczy się dzięki komunikacji. Komunikacja jest warunkiem koniecznym dla prokreacji. Świetliki wysyłają w nocy sygnały do swoich partnerów. Ludzki samiec kusi samicę korzystając ze słodkich słówek, a

czyż prezent w postaci kawałka krystalicznego minerału nie jest utrwaloną formą wyrażenia komunikatu o jego nieśmiertelnym uczuciu?

Chelan zrezygnował z kwiecistego sposobu wyrażania i kontynuował w bardziej zwyczajnej formie:

— Huvane, sprowadzając to do najbardziej uproszczonej postaci, żywa istota nie przetrwa w samotności. A ponieważ życie nie może istnieć bez komunikacji, odetnę Terraninowi wszelkie jej możliwości.

— A wtedy on zwariuje, zupełnie oszaleje.

— Nie, ponieważ dam mu wybór. Współpracuj, albo rozpłyniesz się w całkowitej pustce.

Huvane wzruszył ramionami.

— Wydaje mi się, że każdy Terranin, zamknięty w duralimowej klatce, tak daleko od domu, że odległość ta jest dla niego niemożliwa do ogarnięcia, już ma odcięte wszelkie możliwości komunikacji.

— Głębiej, głębiej, Huvane. Mózg jest uwięziony w klatce z kości. Kontaktuje się ze światem zewnętrznym poprzez pięć kanałów komunikacji zmysłowej. Wszystko, co mózg wie o Wszechświecie jest produktem informacji zmysłowej, przenoszonej do środka przez wzrok, dotyk, słuch, smak i węch. Z tych pięciu podstawowych skrawków informacji, wiedza o Wielkiej Prawdzie tworzona jest dalej przy pomocy logiki i wewnętrznej argumentacji. Cała.

— Ale…

— Och, niech pan już przestanie. Nie wyrażam swej własnej specyficznej opinii. Uważam, że dosyć znaczną część rzeczy, których się nauczyłem, nauczyłem się właśnie poprzez ten sam pięciozmysłowy kanał.

— Hmmmm.

— No dobrze. Już tylko zwykłe „Hmmmm". A teraz wyłączymy Terraninowi wszystkie kanały komunikacji, dopóki nie zgodzi na współpracę. Tego, Huvane, nikt wcześniej jeszcze nie próbował. To może przynieść nam ostatnie istotne elementy informacji.

Powoli światła zgasły. Jerry Markham był przygotowany na izolację w ciemności, nic z tym nie mógł zrobić, tak więc po prostu zaakceptował ten fakt, zapewniając się, że rzeczy muszą iść trochę gorzej, zanim pójdą lepiej.

Ciemność stała się – absolutna. Całkowita. Zupełna. Nie było nawet żadnej kropki, czy plamki, które technicznie określane są jako „szum wizualny". Poziom czujności mentalnej drażnił go; od niemal dwudziestu czterech lat, zmysłem wzroku zajmował się bardzo zajęty, mały skrawek jego umysłu. Sekcja ta sprawdzała dane związane z ważnym materiałem programowym i decydowała które z nich były trywialne, a które warte uwagi Wielkiego Szefa. A teraz nie miała ona nic do roboty, ponieważ nie było nawet najmniejszego skrawka tła, czy szumu, która mogłaby zająć jej uwagę.

Cisza narastała – ciężka. Mózg twierdził, że materialne ściany znajdowały się w odległości nie więcej niż dziesięciu stóp od niego; uszy

zaś mówiły, że był dokładnie w środku absolutnie niczego. Czucie twierdziło, że pod nogami miał podłogę. Uszy upierały się jednak, że na jego podeszwy działa jakieś parcie w górę. Po chwili zanik słuchu poszedł dalej i stracił orientację. Czucie pozostało, i czuł bicie serca w coraz szybszym rytmie, ponieważ sprzężenie zwrotne przez ucho ustało.

Po chwili zanikło także jego odczucie ciała i nie wiedział już, czy stoi, czy siedzi, czy unosi się w powietrzu. Nie miał czucia i ustało to delikatne sterowanie motoryką, określające ustawienia mięśni i członków, pozwalające człowiekowi umieścić palec wskazujący na czubku nosa nawet z zamkniętymi oczyma.

W przypadku braku materii obcego pochodzenia, smak czystych ust jest – pozbawiony smaku. Pojęcie to jest względne. Jerry Markham wkrótce dowiedział się, czym jest prawdziwy brak smaku. Była to zupełna pustka i – nicość.

Chemicy mówią nam, że powietrze nie ma smaku, koloru, ani zapachu, ale kiedy zmysły raptownie zawodzą, człowiek uświadamia sobie, że powietrze tak naprawdę miało swój cudowny aromat.

W niewykorzystywanym ciele, podstawowe sensory umysłu nie mają nic do roboty i dla człowieka przystosowanego do tego, że są one stale zajęte, ich bezczynność staje się najtrudniejszym problemem. Zniknęły wszystkie bodźce zmysłowe. Serce pompowało krew siłą przyzwyczajenia, nie kontrolowane przez informację zwrotną w formie dźwięku lub czucia. Oddychał, ale nie słyszał ruchu powietrza. Mózg mówił mu, że powinien ostrożnie korzystać z ust. Ostre zęby mogły pogryźć martwy język, nie czując bólu, ani nawet słonego ciepła płynącej krwi, mógł się wykrwawić na śmierć. Wytrenowane przez nawyki nerwy, wywoływały fałszywe łaskotanie w gardle, nawet nie wiedział czy kasłał naprawdę, czy tylko myślał, że kaszle.

Wyczucie czasu opuściło go, kiedy ucichł metronom bicia serca. Zdeterminowany mózg poszedł na kompromis, zakładając, że upływ czasu może być kontrolowany przez funkcje głodu, wydalania i zmęczenia. Logiczny umysł wskazywał jednak, że może zagłodzić się na śmierć i nie czuć niczego; wydalanie była to tylko kwestia wrażeń zmysłowych; zmęczenie było funkcją ciała, która i tak wymagała informacji – a czym, tak naprawdę, jest sen?

Mózg zastanawiał się nad tym pytaniem. Mózg mówił: jestem Jerrym Markhamem. Ale czyż nie jest prawdą, że żaden mózg nie może nie myśleć o niczym? Czy możliwe jest, że „Sen” jest tylko stanem, który otrzymuje się, gdy ciało przestaje przekazywać wiarygodne informacje do mózgu i mówi on wtedy „Do diabła z tym wszystkim” i zaprzestaje myślenia?

Mózg nazywany Jerrym Markhamem, nie przestał myśleć. Utracił poczucie czasu, ale nie kompletnie. Kiedy minął pewien okres czasu, w trakcie którego nie ustawał szaleńczy wir myśli i podobnych do sennych działań, nastąpiło chwilowe uspokojenie.

Sny? Tutaj natrafiamy na istotne pytanie. Czy mózg śni w wyniku doświadczeń zmysłowych – czy sen jest jedynie sekwencją wybranych wspomnień? Czy umierający mózg może zażyć przyjemności w trakcie

miłego snu – czy też radość miłego snu pojawia się dopiero w mózgu po obudzeniu?

Czymże jest Człowiek bez swoich Wspomnień?

W pewien dziwny sposób, mózg Jerry'ego Markhama zachował swą orientację intelektualną i uświadamiał sobie, że jego stan fizyczny był niemożliwy do kontrolowania i niewykrywalny, dlatego właśnie pozbawiony znaczenia. Jak latarnika, który nie może spać jeśli przez cały czas na jego wieży nie rozlega się co pięć sekund sygnał dźwiękowy, mózg Jerry'ego Markhama przepełniała lekka troska o całkowity brak nieistotnych, ale zwykle otrzymywanych danych. Nie było żadnej plamki światła, którą można by sklasyfikować i zignorować, najlżejszego szmeru powietrza, którego cząsteczki uderzałyby o bębenki uszu. Pustka zastąpiła zapach oraz smak, a ich brak był równie niewygodny jak ostrość trucizny. I, oczywiście, człowiek powinien czuć coś więcej, niż tylko napięcie mięśni na poruszających się kościach.

Komunikacja jest podstawową potrzebą życiową. Pewien zestaw nudzących się komórek w mózgu Jerry'ego w końcu się wzburzył. Nie były one wykorzystywane od czasu, gdy jakieś piętnaście lat wcześniej Markham śpiewał „Adeste Fidelis" zapamiętanymi łacińskimi słowami, i teraz zaczęły one awanturę. Jak w sali pełnej ludzi, niecierpliwiących się ponieważ kurtyna nie uniosła się na czas, zerwał się totalny chaos.

Chaos podlega prawom okresowości, analizy stochastycznej i przy pomocy dosyć błyskotliwej manipulacji, może zostać zredukowany do Szeregu Fouriera. Fourier stwierdza, że Maxwell ma rację, co prowadzi do możliwości dokładnego zdefiniowania kiedy, w szeregu złożonych komponentów pozornie losowego ruchu, o różnej okresowości, wszystkie małe składniki będą poruszały się w tym samym kierunku. Analiza stochastyczna, mówi, że w języku angielskim, w większości przypadków po literze „Q" występuje „U".

Jerry Markham zaczął myśleć. Izolowany i samotny, więzień w klatce z kości, gdy absolutnie nic go nie rozpraszało, mózg za powszechną zgodą uderzył młotkiem, zwołując konferencję komórek, wyznaczył przewodniczącego i zajął się jedynym działaniem, dla którego komórki mózgu się zbierają. Unisono, dziesięć do potęgi szesnastej komórek zebrało się razem, na jeden ruch mentalnej flagi.

Myślał o swoim ojcu i matce; o Sally. Myślał o swoim dowódcy oraz kolegach, których lubił i nie lubił. Przepełniała go podstawowa potrzeba komunikacji, ponieważ musiał najpierw nawiązać komunikację, zanim będzie mógł wznieść się ze stanu kamiennego minerału, do wyższego poziomu rośliny. Pozbawiony swych normalnych zmysłów, nierozpraszany przez trywialne rzeczy, takie jak hałas, ból oraz ogólnie niemożliwy do oszacowania ogrom bitów informacji, które muszą zostać wzięte pod uwagę i ocenione, jego mózg wezwał na swe potrzeby całą pamięć i dostarczył niezbędnych szczegółów tła.

Miarowy marsz kompanii żołnierzy, może zniszczyć most.

Rytm dziesięciu do potęgi szesnastej komórek mózgowych, nie rozdzielonych do przetwarzania rozpraszającej informacji wejściowej, przerwał barierę mentalną.

Tak ostro, jakby naprawdę to przeżywając, Jerry Markham wyobraził sobie siebie, przechadzającego się chodnikiem. Jego twarz muskał wietrzyk, a pod stopami czuł chodnikowe płyty. Powietrze było przepełnione miriadami zapachów, na języku zaś czuł posmak papierosa. Oczy widziały biegnącą ku niemu Sally, jej powitalny okrzyk był radosnym dźwiękiem, a dotknięcie tulącego się ciała dziewczyny, stanowiło równie silne doznanie fizyczne, co smak jej warg.

Rzeczywistość.

Pociągnęła go za rękę i powiedziała:

— Twoi na ciebie czekają.

Jerry roześmiał się.

— Niech generał jeszcze trochę poczeka — oznajmił. — Mam mu dużo do powiedzenia.

Huvane oznajmił:

— Zniknął! — a dźwięk jego głosu odbijał się echem po pustek celi.

— Zniknął — powtórzył Chelan. — Zupełnie niepojęte, tym niemniej to fakt. Ale jak…? Izolowany, samotny, uwięziony – odcięty od wszelkiej komunikacji. Wszelkiej komunikacji…?

— Złapię inny okaz, szefie.

Chelan pokręcił głową.

— Siedem razy spychaliśmy ich pacnięciem w dół. Siedem razy obserwowaliśmy jak się podnoszą – i dziwiliśmy się, jak im się to udało. Siedem razy wyprzedziliby nas, gdybyśmy ich nie zablokowali. Niech się rozwijają, niech napędzają Wszechświat. Zdeterminowani są, aby i tak tego dokonać. I coś mi się wydaje, że lepiej przestać denerwować lepszych od nas. Z niechęcią myślę o stanięciu przed nimi, kiedy naprawdę się rozzłoszczą.

— Ale, szefie, on był odcięty od wszelkich form komunikacji…?

— W oczywisty sposób — odparł Chelan, — nie!

KONIEC